

Prawa Murphy'ego

W centrum sceny parkowa ławka, na niej – kłębek szczelnie okryty zniszczonym kocem. Z boku sceny potężne łyse drzewo, w głębi metalowy płotek, za którym majaczy, zza siatki, krajobraz świecących potęgą wieżowców. Na scenicznych deskach śmieci. Pożółkłe gazety, butelki, kartony. „A nie mówiliśmy?” – czytamy ze zmęczonych spojrzeń bohaterów toruńskiej *Antygony w Nowym Jorku*, którzy zjawiają się w tej sfatygowanej przestrzeni niczym upiory z przeszłości.

Prapremiera dramatu Janusza Głowackiego odbyła się ponad ćwierć wieku temu. Wtedy, dla przepoczwarzającej się, oczarowanej Zachodem Polski, opowieść o bezdomnych z Tompkins Square Park była niczym cios w serce. Budowana latami mitologia zadrżała na widok przechlanego Pchełki, bo oto nagle okazało się, że „ciocia z Ameryki” może nie mieć zębów i spać w kotłowni. Że ten *american dream*, który my też tak bardzo chcemy śnić, może być również koszmarem. Minęło ponad dwadzieścia pięć lat. Za nami kilka gonitw o spełnienie. Przeszliśmy „Wyspy”, Skandynawię. Po tych wszystkich doświadczeniach *Antygona w Nowym Jorku* powinna być jak straszna opowieść z dzieciństwa zrationalizowana w dorosłości. Dlaczego więc tak uparcie nie jest? Oglądając przedstawienie Macieja Marczewskiego, uświadamiamy sobie, że ta trójka upiorów z zamierzchłej przeszłości, kiedyś tak strasznych, bo egzotycznych, jest nam dzisiaj dużo bardziej bliska niż wtedy. Że Pchełka, Sasza i Anita są dla nas teraz, paradoksalnie, dużo bardziej prawdopodobni, a ich biografie niepokojąco rymują się z repertuarem naszych dzisiejszych, najbardziej przerażających fantazmatów.

Przedstawienie w Teatrze im. Wilama Horzycy nie odstępuje oryginału Głowackiego ani na krok, wiernie przenosi słowo, skrupulatnie czyta didaskalia. Siedzący na parkowej ławce Sasza (Paweł Tchórzelski) majstruje przy rozklekotanym magnetofoniku. Kojące dźwięki zacinają się, milkną co chwilę. Ciszę, której muzyka z zepsutego odtwarzacza nie chce zastąpić, rozbraja Anita (Joanna Rozkosz), wtaczająca się na scenę z załadowanym kłopotami sklepowym wózkiem. Gorączkowa narracja kobiety próbuje zwabić puste spojrzenie Saszy. Ze słownej magmy, którą obwieszona budzącymi politowaniem atrapami ozdób Anita wylewa z siebie bez wytchnienia, niemal natychmiast wyławiamy zapisaną na marginesach, potwornie gorzką intencję – pragnienie bliskości. Tę samą chęć ujawnia chwilę później Pchełka (Bartosz Woźny), którego rozedrgane spojrzenia i kompulsywne pokrzykiwania mają tylko jeden cel. Zainteresowanie Saszy, mianowanego przez Pchełkę przyjaciелеm.

Realistyczne kostiumy, w które ubrali aktorów toruńskiej adaptacji Katarzyna Sobańska i Marcel Sławiński (również autorzy scenografii), oplatają ciała całej trójki patchworkowymi kokonami biedy. One, wraz z dosłownie skomponowaną scenografią przedstawienia, potęgają wrażenie permanentnego bezruchu, który nieuleczalnie trawi biografie bohaterów *Antygony w Nowym Jorku*. Pogodzony z tym życiowym letargiem zdaje się być jedynie Sasza. Bohater, w bardzo dobrej roli Pawła Tchórzelskiego, początkowo wręcz poraża swoją biernością. Jego reakcje na fantastyczne opowieści współmieszkańców parku sprowadzają się do rzucanych w przestrzeń krótkich fraz, przepełnionych ironią, odzégnujących się od jakiegokolwiek bliższego kontaktu. Jego towarzysze bierność pośpiesznie zagadują. Podróż, przeczuwalnie pierwsza od długiego czasu i prawdopodobnie (jak przeczuwamy) ostatnia w ich życiu, ujawnia, że marazm w ich przypadku to „naturalny” objaw stanu nieustannego oczekiwania. Wędrówka do miejskiej kostnicy na drugi koniec miasta, do której

namawia mężczyzn nowojorska Antygona-Anita, pragnąca pogrzebać w parku zwłoki Johna (Robert Nowak), ujawnia, że każdy z bohaterów wciąż i mimo wszystkich okoliczności – ma na coś nadzieję, na coś rozpaczliwie czeka. Anita na telefon od pracodawcy, Sasza na wyjazd do Rosji, w której ceniono go jako malarza. Pchełka, najbardziej bodaj smutna postać dramatu, czeka na przyjazd ukochanej Joli. Choć jednocześnie każdy z nich doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że czekać nie ma już na co. Pracodawca nie zadzwoni już nigdy, Rosja o Saszy zapomniła dawno. A Jola była w Nowym Jorku i odjechała, zawstydzona widokiem zapijaczanego, bezdomnego Pchełki.

Właściwie cała druga część spektaklu Marczewskiego to obrazy „zaczarowywania” pustki, której żaden z bohaterów nie chce zobaczyć w całej jej okazałości, którą każdy z nich opatula wyszperanymi z pamięci artefaktami z przeszłości. Kwintesencję prowizoryczności tych działań, ich ułudę świetnie oddają dwie sceny. Ta, w której Anita szykuje ceremonię żałobną dla Johna, oraz ta, kiedy kobieta szykuje Saszę na wizytę w ambasadzie. W obu Anita ubiera, przysłania pustkę tandetną namiastką sensów – na skleconym naprędce ołtarzyku kobieta rozstawia biedne, odrapane przedmioty, które dawno i na zawsze straciły swoje pierwotne funkcje. To samo ma miejsce w przypadku, gdy bohaterka próbuje „wystroić” Saszę. Koszula, marynarka, buty, ubrane na połatane łachmany bezdomnego potęgują wrażenie karykaturalnej maskarady, karnawałowej zabawy „w życie”.

Janusz Głowacki napisał o *Antygonie w Nowym Jorku*, że to utwór przede wszystkim o rozpaczach. W bardzo „klasycznej”, wiernej literackiemu oryginałowi adaptacji Macieja Marczewskiego rozpacz wyziera z każdej sceny, choć niejednokrotnie towarzyszy jej nienachalna ironia. Opowieść o trójce mieszkańców upadającego obozowiska, snuta przekornie przy słodkich dźwiękach amerykańskich standardów rozrywkowych, ma wymiar niezwykle bolesny, w czym zasługa w dużej mierze zespołu aktorskiego. Trudno mi rozstrzygnąć, czy fakt, że oglądając ten spektakl, natychmiast niemal oderwałam bohaterów od scenerii (skądinąd naprawdę świetnie zrealizowanej), w którą wpisał ich reżyser, należy uznać za błąd czy raczej wartość. Jedno wiem, Głowacki i jego nowojorska trójka brzmią wciąż przeszywająco. A przepowiednia samotności, osobności i czekania na to, co nigdy nie nadejdzie, którą autor wpisał w swój dramat ponad ćwierć wieku temu – upiornie się realizuje. Chociaż już w zupełnie innych dekoracjach.

Anna Jazgarska

Teatralny.pl

18-10-2019